



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

W wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych
po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60;
kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG.

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCOY

Ulica Królewska Nr 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta
kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na pro-
wincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebiera i Spół., kwartal. tal. pr. 1
sgr. 20.

WSPOMNIENIE.

Z szerokich pól, znad Dniepru fal,
Z Bohdana tęsknej ziemi,
Stroskana myśl ulata w dal
Skrzydłami znużonemi.

I w inny kraj, jak senny ptak,
Szybuję przez rozdroża:
Do sinych nieb, na stary szlak,
Za góry, och! za morza....

Swobodnym lotem dąży tam,
Kędy świat dawny drzemie,
Gdzie śmiały łuk prastarych bram
Wielkości szepcze imię....

Wysmukłych sosen cichy szum
Nad Tybru szemrze brzegiem;
Widziadeł tajemniczych tłum
Przesuwa się szeregiem;

Minionych lat wiekowa pleśń
Świątynie srebrzy starą;
Na kobzie dmie Maryi pieśń
Brodaty pifferaro.

Przesuwa się dwukolny wóz,
Świątecznię ustrojony,
A za nim w ślad pasterze kóz
Z ofiarą dla Madony.

Znużony pielgrzym wiedzie krok,
Gdzie kolumn rząd dokoła,
A wszędzie tam spotyka wzrok
Posągów blade czoła.

I patrzą one smętnie wciąż
Na gruzy dawnej sławy....
Jak w schyłku dni sędziwy mąż
Na wnuków swych zabawy.

Gdzie niegdyś krzyk swawolnych tłuszc
Płacz głuszył i westchnienia,
Na śladach krwi zwiesza się bluszcz
Całunem zapomnienia....

W ruinach drzemie wieczny gród,
Kołysan do snu śpiewem;
Łączy się szmer tybrowych wód
Z kampanii pól powiewem.

Ramiona w górę wznosi krzyż,
Przezysty znak miłości,...
A starych bogów ciemny spiż
Wciąż szepcze o przeszłości.

I w gruzach wieczna pamięć drga—
Pomników dawnej chwały....
Harmonią wieków świąty dwa
W jeden się akkord złąły.

Oh! często, często obraz ten,
Zamierzchły już w pamięci,
Jak młodociany cudny sen,
Wspomnieniem jasnym nęci.

Lecz znika chyżo złudny czar,
Pierzchają białe mary.
Znów step przedemną, ciemny jar,
I smętne pól obszary.

Znowu zimowy huczy wiatr,
Pędzący przez rozdroża,
Od śnieżnych szczytów starych Tatr,
Przez biały step, do morza....

Olbrzymim rykiem wichrów śpiew
Napełnia pól przestrzenie;
Niby orężnych drużyn gniew,
Ryczy zawiei tchnienie.

I brzmi żelaznych zbroi szczęk,
Wśród lewad, pasiek, łanów,
Rycerskich piersi senny jęk
Przemawia zpod kurchanów....

I dźwięczy pieśń minionych dni
Melodyą zagrobową—
A w sercu cichym głosem brzmi
Rodzinnej ziemi słowo....

Tomasz Zawadyński.

POGA WĘDKA.

Dwie maskarady z tombolą, mnóstwo balów
wieczorków prywatnych zakończyło karnawał,
w którym bawiono się u nas, jak za najlepszych
czasów.

Ludzie zapomnieli, że bieda doskwiera, że ży-

cie coraz cięższe, że to tajemnicze *jutro* gorszem być może od dnia dzisiejszego.

„Często chwila jest liczbą, reszta życia zerem“, powiedział najcelniejszy z polskich poetów, a po nim powtarza to, jakby hasło i dewizę — większość, która z chwili na chwilę, z dnia na dzień żyć przywykła.

Z takich chwil wszelako życia naszego oceniać nie podobna.

Gdyby o nas sądzono tylko z ostatniego karnawału, byłibyśmy ludźmi, którym jedynie ptasiego mleka braknie, a tymczasem pozory te tak bardzo ludzą.

Rzadko gdzie schodzą się tak ostateczności w jednym i temsamem społeczeństwie, jak u nas: obok zbytku nędza, obok przesyconych głodni, obok zamożności jednych drudzy na chleb zarobić nie mogą.

Ekonomiczny nasz stan przypomina mieszaninę wody z oliwą, na wierzchu warstwa cienka okras, a pod nią, niestety, sama woda. Jakże wobec tego mówić o dobrobycie, który mniej więcej powinien wszystkie warstwy przenikać!... Daleko nam jeszcze do tego, aby każdy miał swoje kure w garnku, wielu dotąd na własny garnek zdobyć się nie mogło.

Mimo to nazewnątrz świecimy szychem i po złotą, która w najciemniejszych chwilach ludzi jeszcze swym blaskiem.

W przepelnionych teatrach, na balach i koncertach Warszawa wydaje się zamożną, uśmiechniętą, rozbawioną i wolną od wszelkich kłopotów damą, która w salonie rześkości oświetlonym robi honory domu, ale broń Boże zajrzeć do dalszych apartamentów: pusto w nich, chłodno, smutno i ciemno.

Przypomina to bal w domu bankruta.

Po luczynym karnawale, który przysłuszył chwilowo skargi i narzekania na rozmaite dolegliwości chwili, zaczniemy w Wielkim Poście śpiewać znów „Gorzkie żale“ i przypominać sobie, co nas boli i gniece.

Pomimo zapustnego wiru i chaosu Modrzejowska i Brandes w ostatnich czasach najgłośniejszą stanowili parę, którą uwaga publiczna u nas zajęta była. Znakomita artystka zciągała tłumy swych wielbicieli, ilekroć i gdziekolwiek pojawiała się na scenie lub estradzie; w roli „Dalili“ pożegnała Warszawę, w „Iskierce“ razem z panią Popiel-Swiecką wzniciła niebywały zapal wśród publiczności, która, jak było do przewidzenia, zatłoczyła od góry do dołu całą Salę Ratusza; za kilka dni mamy ją znowu powitać na poranku dramatycznym, urządzanym na korzyść inteligentnego i utalentowanego artysty p. Bolesława Ładnowskiego, który obchodzić będzie dwudziestopięciolecie swego scenicznego zawodu.

Potem p. Modrzejowska pusi się znowu w podróż artystyczną, podobno ostatnią, aby następnie osiąść stale w Krakowie i zająć się kierownictwem wzorowego teatru, któryby był praktyczną szkołą i rozsądnikiem młodych talentów.

Homo propom, Deus disponit, ale że według Francuzów: *Ce que la femme veut, Dieu le veut*, więc i projektem tak energicznej kobiety, jak największa z naszych artystek dramatycznych, los zapewne poszczęści.

Byłoby to z wielkim pożytkiem dla sceny polskiej, gdyby tak wytrawna i doświadczona artystka, świetną swoją karierę uwieńczyć chciała pracą nad wykształceniem młodego pokolenia Melpomeny, które dzisiaj samopas iść musi po drodze sztuki. Szkoda tylko, że z tych dobrych zamiarów nie może skorzystać Warszawa!

Kiedysmy patrzali w zeszłym tygodniu na takie dwa świetne talenta, jak pp. Modrzejowskiej i Popiel-Swieckiej obok siebie, talenta, jakich niewiele znajdzie na scenach europejskich, a których nasza scena wyrzec się musiała może na zawsze, uczuliliśmy żal do... losów, które nas tylko „iskierkami“ obdarzają. Gdyby przynajmniej takie mistrzyni wykształciły nam, każda w swoim rodzaju, zastęp uczennic, przedłużających tradycję takiej gry i pojmowania sztuki!

Mowiło się u nas tyle o potrzebie i konieczności szkoły dramatycznej, poważnie i należycie uorganizowanej, kreśliło się projekta ręką kompetentną i życzliwą dla sceny, wskazywało goto-

we kadry przewodników i nauczycieli, a jednak sprawa ani na krok z miejsca nie została posunięta.

Czyżby jej teraz nie należało nadać nowego bodźca?... odpowiedź mogłaby wyjść tylko z dyrekcyi teatrów warszawskich.

Dziś, skoro jakotako uporano się z finansowymi interessami sceny i terazniejszością, jej przywrócono znów do równowagi, należałoby o jej artystycznych interessach na przyszłość pomyśleć. Umożnienie długów naszego teatru odbyło się, jak wiadomo, rezygnacją z wszelkiego rządowego zasiłku; że zaś budżet sceny około pół miliona rubli rocznego wydatku określa, potrzeba tę sumę zarobić własnymi siłami i zapewnić z dochodów od publiczności.

W obecnej chwili resztki wielkiej niegdyś i świetnej firmy naszego dramatu i komedyi dawnym urokiem pociągają tę publiczność, ale długo tak nie będzie; potrzeba zatem postarać się o zabezpieczenie tej scenie nowych sił i środków, nowego, wyćwiczonego w dobrej szkole zastępu talentów, nie rozwijanych i kierowanych na oślep tylko intuicyą, albo popychanych w kierunku znośnej maniery i rutyny.

Przezorne głosy odezwały się też z propozycją zniesienia baletu, jako największego stosunkowo ciężaru sceny, który dzisiaj ani świetności, ani dochodów teatrowi warszawskiemu nie przysparza. Kiedys balet nasz był okwieconą gałęzią, dzisiaj staje się dolegliwym pasożytem; aby nie odciągał i tak skąpych soków żywotnych, trzeba go, jeżeli nie odciąć zupełnie, to choćby przyciąć znacznie.

W jaki najpraktyczniejszy sposób można interessa artystyczne i finansowe pogodzić ze sobą, wskazuje od pewnego czasu prawdziwie wzorowym przykładem nasze Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych pod nowym a pomysłowym i sprężystym zarządem. Dobry i zajmujący repertuar na scenie jest temsamem, czem dobór i staranność w gromadzeniu obrazów i rzeźb na wystawie Towarzystwa; doświadczenie przekonywa, że jedno i drugie nie zawodzi.

Od chwili, gdy zerwano z apatyą i spuszczeniem się na łaskę losu, gdy wystawę ożywiać zaczęły prawdziwe dzieła sztuki, o które się komitet sam postarał, nasz Salon przy Krakowskim Przedmieściu roi się ciekawą publicznością i dochody Towarzystwa wzrastają niemal z dniem każdym.

Kilka tysięcy osób zwiedziło wystawę zeszłej niedzieli, a pociągnął ich wielki, pełen zalet obraz młodego, czeskiego mistrza Brożika, przedstawiający Jana Husa przed sądem w Konstancji, broniącego się od zarzutów kacerstwa w r. 1415.

Pierwszy to raz mamy sposobność podziwiać dzieło czeskiej sztuki narodowej i przyznać trzeba, że początek ten zrobił obraz pod każdym względem niepospolity; niedarmo twórce jego nad Wełtawą nazwano „czeskim Matejką“...

Brożik z ubogiej ślusarskiej rodziny dźwignął się siłą własnej pracy i talentu na pierwszorzędną dziś stanowisko w sztuce, porzuciwszy warsztat ojca i zajęcia w fabryce porcelany, poszedł za głosem wewnętrznego natchnienia; o głodzie i chłodzie przebiegał się przez studia w prazkiej i w monachijskiej szkole malarskiej, nie mogąc się długo uznania i powodzenia dobić, aż dopiero przed siedmiu laty na wystawie paryskiej, niespodzianie, jakby z nieba, spadł mu złoty medal i złoty deszcz franków w zanadrze.

Odtąd ciernie zakwitły dla młodego artysty: ożenił się z córką znanego w Paryżu handlarza obrazów i dzieł sztuki, Sedelmayera, który pierwsze jego płótno zakupił, krytyka sławić go zaczęła, publiczność podziwiać, a ojczyzna dumna z takiego syna szczycić się, jako swą znakomitością i chlubą.

Brożik znajduje się dzisiaj w kwiecie wieku i w pełni swego talentu; ma lat trzydzieści cztery i świetną jeszcze przyszłość przed sobą.

„Potępienie Husa“ znalazło się przypadkowo obok „Grunwaldu“ mistrza Matejki, którego „Hołd pruski“ jednocześnie podziwiają Prażanie; pomimo tej bardzo niebezpiecznej konkurencji,

czeski artysta wychodzi z niej zaszczytnie, publiczność zatrzymuje się przed jego obrazem z podziwem i zajęciem, przyglądając się malowanej tragedii na płótnie, z którego każda twarz, nawet na ostatnim planie, przemawia pełnym, silnym, charakterystycznym wyrazem.

Dobry pomysł sprowadzenia „Husa“ do Warszawy opłaci się niezawodnie Towarzystwu sowicie, a powodzenie zachęcić powinno komitet do dalszych w tym rodzaju starań, na których i publiczność kształcąca swój smak, i artyści znajdujący sposobność porównywania swoich utworów z obcemi, i kassa potrzebująca zasiłku skorzystać tylko mogą.

Wspomnieliśmy na początku o zajęciu, jakie wzbudził znakomity duński krytyk, Jerzy Brandes w Warszawie, zaproszony na katedrę prelegentką przez jednego z naszych lekarzy, który, zwiedzając Kopenhagę zabrał bliższą z nim znajomość. Trzy odczyty, wygłoszone w języku francuzkim, zwabiły intelligentną część publiczności do sali ratuszowej, a chociaż prelegent mówił złym akcentem, chociaż mu brakło tych zewnętrznych warunków, które najpierw dobrze lub źle uprzedza zwykły naszych słuchaczy, a zwłaszcza słuchaczki, to jednak treścią i formą swoich prelekcji sprawił niepospolite wrażenie; słuchano go z nadzwyczaj skupioną uwagą, a wzrastającym zajęciem.

Jerzy Brandes, cokolwiekby powiedzieć chciało o jego filozoficznym i społecznym programacie, jest dzisiaj jednym z najpierwszych i najznakomitszych krytyków literackich w Europie, a w swojej ojczyźnie przodownikiem oświaty i postępu. Wielka inteligencja z nauką, niezmierzenie bystry i szeroko przedmiot obejmujący zmysł krytyczny, zdolność popularyzowania swoich poglądów i zdań w formie dziwnie ponętnej i przystępnej, barwnej i jasnej, wyróżniają go nawet wśród najcelniejszych badaczy literatury; jest on jej psychologiem i anatomem zarazem.

W metodzie swojej krytycznej Brandes jest z ducha potomkiem St. Beuve'a i Taine'a; można by powiedzieć, do swych studyów literacko-społecznych, nie atramentu, ale farb używa, maluje nie pisze; daną epokę czy autora przedstawia w barwnym, wyrazistym, ożywionym obrazie, nie w oderwanym jakimś posagu bez tła i otoczenia.

Jak w optycznej soczewce, skupiają się w jego umyśle wszystkie rozproszone rysy i promienie badanego przedmiotu. Najcelniejszym przykładem tej metody krytycznej jest znakomite jego dzieło p. t.: „Główne prądy w literaturze XIX wieku.“

Temisamemi zasadniczymi zaletami rozbioru i opracowania tematu odznaczały się jego trzy odczyty „o literaturze skandynawskiej“ i „o romantyzmie we Francji.“ Nie będziemy ich streszczali, gdyż wszystkie trzy w dosłownym tłumaczeniu pojawiają się właśnie w felietonie *Gazety Polskiej* i dać mogą dokładne pojęcie o zajmującym tym przedmiocie i sposobie jego traktowania.

Odwieczając się za gościnę i gościniec, złożony dobroczynnemu celowi (dochód z odczytów przeznaczony był na korzyść czytelni bezpłatnych), grono literatów i dziennikarzy, podziwiających przekonania i poglądy autora „Głównych prądów“ podejmowało go składkami uczta i ofiarowało mu w upominku ozdobne album z widokami Warszawy i fotografiami swemi.

Na uczcie, która od razu nastroiła umysły i serca poważnie i podniosło, chociaż swobodnie i niezmiernie sympatycznie, znany poeta i dramaturg p. Józef Kościelski w łacińskiej mowie witał gościa, porównując słuchaczy do gorących oklasków. Język Cyserona brzmiał w ustach wyborowego mówcy pełnią pięknej formy i szlachetnej treści...

Inne przemówienia wygłoszone były po francuzku.

Brandes, opuszczając Warszawę po dwutygodniowym prawie pobycie, przyrzekł wrażenia swoje i spostrzeżenia spożytkować w studium, które ma zamiar napisać o celniejszych naszych poetach z epoki romantycznej. Dowiedzieliśmy się od niego, iż w poezji skandynawskiej nowszej doby bardzo wiele rozbrzmiewało sympatycznych

dźwięków dla Polaków i wielu piewców brało natchnienie z nasza Wisły.

Nic dziwnego, iż tak mało słyszeliśmy o tem; język duński ze względu na swoją odrębność dzieli w oświeconej Europie losy polskiego; choćby nim przemawiano najgłośniej, choćby śpiewano z natchnieniem wieszczów, bez pośrednictwa niemieckiego, albo francuskiego nie będzie słuchanym i zrozumianym.

Taki już los nasz mieć harfy bez strun i słuchaczy głuchych...

Od literatury przejdźmy do rzeczy praktyczniejszych, od chleba dla umysłu—do chleba dla ciała, którego coraz ubywa. Ziemi naszych stworzyła nowa groźna ewentualność podniesienia cła od zboża i od drzewa na granicy niemieckiej. Z północy zasypują nas krupczatką, na zachodzie tamują drogi zbytu: trzeba przy chlebie mrzeć z głodu.

Zobaczmy wkrótce na wielkiej wystawie rolniczo-przemysłowej, co posiadamy jeszcze w naszym majątku krajowym i z czego dałoby się końce związać a dziury załatać. Termin tej wystawy, po której sobie wszyscy wiele dobrego obiecują, ustanowiono nieodwołalnie na dzień 10 Czerwca r. b.; trwać ona będzie dni piętnaście.

W celu zgromadzenia na niej jaknajwiększej liczby różnorodnych wyrobów drobnego przemysłu włościan i mieszczan, wyznaczoną została bardzo słusznie osobna delegacja, która rozsyła odezwy do starszych zgromadzeń, do proboszczów, obywateli wiejskich etc., dla zawiadomienia i zachęcenia producentów.

Praktyczniejszym wszelako wydaje się nam postanowiony środek, żeby komitet wystawy dostarczał miejsca bezpłatnie i poniósł do pewnej wysokości kosztu przesyłki, a nadto zakupił wszelkie tego działu okazy do rozlosowania.

Taka zachęta powinna być najskuteczniej oddziaływać, ale potrzeba dobre zamiary i usiłowania wspierać, a do tego nietylko mekcie, obywatelskie dłonie, ale te, z pozoru tylko słabe i delikatne, rączki kobiece winny dopomagać.

Niechajże wystawą krajową zajmą się gorąco i nasze panie, dziedziczki, dzierzawczynie, majstrowe etc.—bo to ich obowiązek obywatelski.

JUSTKA

MINIATURA

z życia powszedniego

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Nad listem tym Justka, całując go, rozplakała się: tak ją ten wuj rozczulał swem cichem zdaleka przywiązaniem i troskliwością.

Nie potrzebowała ona przestróg, a panowie Aureli i Leon, mimo wszystkich swych przymiotów, nie stali na czele tego świetnego orszaku młodzieży, który ją otaczał. Daleko niebezpieczniejsi nie czynili na niej wrażenia.

Dlaczego? Sama ona pewnie nie wiedziała, lecz pierwsze lata dzieciństwa i młodości, spędzone w walce z rzeczywistością nielitościwą, uczyniły ją nieufną, bojaźliwą, chłodną. Gdy teraz jej ktoś okazywał sympatyę, przypisywała ją rachubie i najczęściej obracała w żart zbyt gorąco objawiające się sentymenta.

List wuja rozweselił ją potem. Rada była dowiedzieć się, że Leonek z rozkazu matki ma się kochać, i obiecywała sobie żartować, bawić się kosztem jego.

Aurelemu chciała odrazu odjąć nadzieję i nie zwodzić go, bo była pewną, że trzpiot, lekkomyślny, serca jej pozyskać nigdy nie może.

Na następującą zimę, baron Raun plany wysnu-

wał wielkie, zamierzając liczbę dni, w których zapraszał i przyjmował, pomnożyć, powiększyć ilość balów i wieczorów, oprócz tego zaprowadzić jeszcze obiady i t. p. Wszystko to miało na celu: piękną Justkę wprowadzić w świat, obeznac ją z tem, co życie miało najlepszego i najpiękniejszego, dać jej sposobność nabycia obyczajów wykwintnego towarzystwa, a naostatek przygarnąć artystów i literatów, którzy jak uważał, byli dla niej gośćmi najpożądalszymi.

Z tej dawnej miłości dla elementarza w Justce teraz zrodziła się miłość nauki wogóle i potrzeba czytania, która się nałogiem stała.

Nie miała zwyczaju nigdy potem się popisywać z tem, co się nauczyła i umiała, ani dla próżnostki zagajać rozmów w przedmiotach niewszystkim dostępnych: kryła się więcej, niż chwaliła z tem, co nabywała, lecz zdradzała się niekiedy mimowolnie, przez zapomnienie.

Baron miał jej niemal za złe, że się kryła z tem, co jej cześć przynosiło, lecz dziewczę, rumieniąc się, nie dawało sobie mówić o tem.

Ta poważna strona jej charakteru tłómaczy do pewnego stopnia: dlaczego młodzież nie miała w oczach jej łaski. Dostyc było zdradzić nieuctwo i lekceważenie tego, co ona kochała, aby w jej oczach upaść nazawsze.

Wszystko, cośmy o Justce powiedzieli, choć w części nam może wyjaśni jej postępowanie i dalsze następstwa.

Dom, salon Barona był w swoim rodzaju oryginalny, zewnętrzna jego fizioznomia nakazywała postawić go na najwyższym szczeblu elegancji, zaliczając do rzędu najpierwszych domów stolicy. Zdrugiej strony przystęp do niego był tak niezmiernie ułatwiony dobroduszością gospodarza, łatwością jego w życiu, iż towarzystwo było najdziwniej zlezione z żywiołów, które gdzieindziej rzadko się z sobą spotykają. Obok elegantów, jak z igły, w białych rękawiczkach i krawatach, profesorowie, którzy nigdy fraków nie nosili; obok książąt i hrabiów, rysownicy i muzycy skromni, arystokracja i proletaryat naukowy—schodziły się tu i ocierały o siebie. Był to niejako plac neutralny, i nikt nie śmiał nawet okazać, że mu sąsiedztwo jakieś niespodziane niebardzo miłym było. Baron umiał dla wszystkich być tak uprzedzającą grzeczny, że nawet już nadąsanych rozzbrajał. Dla tej ukochanej Justki byłby nie wiem kogo do salonu wprowadził; a gdy mu ktoś dawał do zrozumienia, że nie było to prawidłowym i zwyczajnym, zamykał usta tem, że Justka też nie była istotą pospolitą; coś więc dla niej poświęcić się godziło.

Justka, nietylko nic nie wymagała, o nic nie prosiła tego, tak powolnego, dziadunia, ale często sama chciała ofiary dla siebie czynione powstrzymać; baron się jednak zapalał:

— A! co mi tam!—wołał—niech tam sobie ludzie mówią co chcą, niech sądzą jak się im podoba; moim pierwszym obowiązkiem i największym szczęściem widzieć twoje marzenia nawet, gdyby można, spełnione.

Łzy stawały w oczach dziewczęcia, rzucała mu się do nóg, wołając:

— Ale czemu ja się odwdzięczyć zdołam!

— Gdy cię będę widział szczęśliwą, moje dziecię, to mi sówicie wszystko nagrodzi—dodawał Baron.—Zresztą ja żadnych ofiar nie czynię; moje życie było tak smutne, tak ogołocone ze wszystkiego, co by je znośnem uczynić mogło, tak osierocone, że dziś z tobą to—raj!!

I składał ręce i płakał stary.

— Tobie ja tylko to mam do zarzucenia, aniółku ty mój, żeś nadto wstrzemięźliwa, niewymagająca, jakby nieufna. Powinnaś używać, zachwycać się i poić; młodość, świeżość wrażeń nie powraca.

Nie mając żadnych nigdy tajemnic dla dziadunia, Justka mu się wypowiadała i z listu wuja i z tych przestróg dotyczących się pana Aurelego i Leona.

Baron, który ze szczególną bacznością przypatrywał się wszystkim zbliżającym się do Justki, a miał poczuć ludzi aż do zbytku pobłażające, ale trafne, obu tych chłopaków nie liczył do pretendentów poważnych.

Wydawali mu się zbyt powszednimi, pospoli-

tymi, podobnymi do mnóstwa innych, a on dla wnuczki wymagał czegoś nadzwyczajnego, — kogoś, co by jej był godzien.

Ustępstwo byłby może tylko uczynił w tym razie, gdyby widział miłość gwałtowną, niedającą się pokonać.

— Ani Aureli, ani pan Leon nie są straszni—odparł, uśmiechając się, stary.—Sądzę, że ich potrafiłaś ocenić: pierwszy z nich zapowiada lekkomyślnego próżniaka; drugi, stateczniejszy, może się stać nieznosnym w życiu pedantem, a tej przywary niema czem wynagrodzić. Obaj świetnych żadnych przymiotów, w oczach moich przynajmniej, nie objawiają.

Poruszył ramionami.

Panna Jolanta i Marta, która miała całe zaufanie Justki, uproszone były przez barona, aby się starały wyrozumieć, kogo ona w licznych zastępie młodzieży wyróżniać będzie.

W roku, który upłynął, panna Jolanta i Marta nie zgadzały się z sobą. Pierwsza z nich utrzymywała, że najmilszym z młodzieży był profesor Dobek, człowiek ubogi, skromny, miłej powierzchowności, ale w tłumie ginący, tak, że mało kto o nim wiedział.

Z powołania botanik, Dobek był literatem i poetą. W świecie nikt go nie znał. Dawał lekcje Justce i to go wprowadziło do domu. Młody, bo nie miał lat trzydziestu, sam jeden w świecie, żył tylko dla nauki, i pracy.

Panna Jolanta utrzymywała, że Justka z nim i przy nim tak się dziwnie ożywała, tak była szczęśliwą, tak nienasyconą, gdy słuchała go, iż można ją było o serdeczne uczucie posądzać, ale Dobek!! Dobek nietylko pewnie się nie domyślał nic podobnego, ale oczów nie śmiał podnieść na swą uczennicę, przed którą padał, jak przed istotą, jakąś wyższą, idealną, nie z tego świata.

Marta przyznawała, że Justka się dosyć zajmowała Dobkiem, że go lubiła, ale potrzebowała głową, na przypuszczenie, iż się z tego miłość urodzić mogła.

Mówiliśmy już z jak dziecianną otwartością Justka przed tą piastunką wieczorami, wszelką z siebie zrzuciwszy powagę, spowiadała się z każdej myśli i uczucia, a Marta, która miała macierzyńskie jasnovidzenia, twierdziła, że serce, jeśli się kiedy w niej poruszyło, to dla pana Zygmunta Nabreskiego.

Musimy więc powiedzieć, kto był ten wybrany, jeżeli Marta się nie myliła.

Niegdyś bardzo majątnych rodziców dziecię, wychowany przez nich starannie, osierocony i nagle zubożały, doznawszy przy pierwszym wyjściu na świat dotkliwego ciosu, pan Zygmunt pospolicie Zygmusiem zwany, (lubiony wogóle) był rodzajem dziwaczного desperata. Zdolny bardzo, utalentowany, chwycił się różnych powołań rzucając je z kolei, i z ironią jakąś obracał się wpośród ludzi, napozór wszystko biorąc lekko.

Ale było w nim serce; zdolnym do poświęceń, okazał się w życiu nieraz; miał w sobie coś szlachetnego, odważnego, rycerskiego.

Przytem, pięknej bardzo powierzchowności, w obejściu się miły, zdobywał serca łatwo, ale nie było w nim, jak się zdawało przynajmniej, nic mogącego przyszłość zapewnić. Nadto rzeczy umiał, próbował, porzucał—i wogóle uragał się z losu tak, jak los z niego czynił sobie igraszkę.

Wiadomem było, że ten, niegdyś majątny, pieszczony, do najlepszych towarzystw nawykły chłopak, teraz dla powszedniego chleba pracował po żydach, w takich różnych dziurach obrzydliwych, iż się do nich przyznać trudno było.

Ale, że miał łatwość pracy nadzwyczajną, pojęcie bystre, zarabiał sobie na życie tak szczęśliwie, iż mu nie brakło tego, co potrzebował, aby się módz pokazać w salonach i znajdować w lepszych towarzystwach, bez których obejść się nie mógł.

Zygmus od przypadkowego poznania panny Justyny widocznie ją wyróżniał i ona dawała mu pierwszeństwo przed inną młodzieżą, choć jego ironią, szyderstwem, dowcipowaniem nagał ją. On jeden umiał ją czasem smutną, wprawić do humoru.

Była z nim swobodną, może dlatego, że według pospolitego pojęcia nie kochał się w niej, nie

grał roli rozmiłowanego, ale mentora. Mówił jej często bardzo otwarcie, czego kto inny nie osmielełby się pewnie; nie lękał się narazić; miał rodzaj pełnej uszanowania poufności, która Justy się ujmowała.

Mentorstwo swe posuwał tak daleko, że czasami, gdy się ukazywała w salonie, krytykował jej ubiór, strofował ją za niebaczne słówko. Od niego Justka jakoś wszystko dobrze przyjmowała.

Za to w świecie nie miała baronówna obrońcy, wielbiciela zarliwszego nad Zygmunta.

— Wszystkie nasze panny, ile ich jest, nie wartę jej małego paluszka! — mawiał głośno. — Ma tę ogromną wyższość nad niemi, że ją dwie najdzielniejsze wychowywały potęgi, jakie mogą człowieka zolbrzymić i udoskonalić: bieda i cierpienie, a potem miłość. A powiadam państwu, co się z niedowierzaniem uśmiechacie, słuchając mojej apologii, że jej nikt a nikt nie zna. Ona tak swoje piękną stronę osłania, jak inni wady i plamy.

Gdy mu zarzucano, że jest w niej rozkochany, i dlatego wszystko mu się w niej wydaje tak uroczem, śmiał się.

— Rozkochanym nie jestem! — protestował — mam nadto rozumu, ażebym sięgał po to, co dla mnie jest niedoścignione. Ta istota, jak wiele jej podobnych, padnie ofiarą jakiegoś minotaura, którego jej baron, los, albo własne zaślepienie wybierze.

Traf raz jej dał nie do uwierzenia wielkie szczęście, a to zapowiada, iż teraz odpokutować za nie będzie musiała.

— Przepraszam — zarzucił mu raz jeden ze starszych panów — czy grywałś pan kiedy w karty, czy wiesz, co to jest *serya*.

— A! a! wiem o niej ze słychu — odparł Zygmunt — *serya* szczęśliwych losów trafia się w *rouge et noire*, ale w życiu człowieka!!

W takich-to mniej więcej warunkach, gdy pani Porochowa wybierała się do Warszawy, salon Barona otwierał się na następującą zimę.

W Zdunowie tajono się z tem, że matka miała Aurelego odprowadzać do Warszawy, ale Sędzinka miała swych przyjaciół nawet u boku sąsiadki i wiedziała zawczasu, co knuto i jak tam spiskowano.

Ona aniby była chciała, ani mogła, odprowadzić Leona, ale opatrzyła go we wszelkie możliwe instrukcje, nabiła mu głowę owocami wieloletniego doświadczenia, uzbroiła go we wszystkie ten tryumfalny oręż, którym się pospolite zdobywają serca, a że Leonek w jej oczach miał nieskończoną wyższość nad Aurelim, niewątpiła więc bynajmniej, że on sobie serce Justki pozyskać potrafi.

(Dalszy ciąg nastąpi).

LISTY J. I. KRASZEWSKIEGO Z MAGDEBURGA.

IX.

Koniec roku przybywa do nas, niosąc pod pachą wielką moc książek i książeczek najrozmaitszych, ale jednocześnie przybywają z nim skargi i rozpacz wszelkiego rodzaju. Dzienniki czują brak prenumeratorów, ilustracje nie wychodzą już na swoje, nikt książek nie kupuje — i tak dalej snuje się ten niewesoły temat; a tymczasem wyczytuję wiadomość, że ma powstać nowy dziennik, *Chwila*, a z kądiną znowu wiem, że tak zwane nowe ilustracje obiecują po niższej jeszcze cenie to, co inne dają już bardzo tanio. Trudno to wszystko sobie wytłumaczyć; trzeba chyba przypuścić, że nowi przybysze czychają tylko na spadek po żyjących.

Na tem nie koniec. Rolnicy także utyskują, że zboże się wcale nie sprzedaje, że przesilenie i na nich spadło dolegliwym ciężarem. Jest to sprawa Ameryki, która, powiększywszy w ogromnym

stosunku swe zaludnienie przez wychodźstwo z Europy, nie chce już więcej o niem słyszeć i zaczyna zalewać targi nasze swojemi wędlinami trychinowatemi i stęchlą mąką kukurudzową. Europa będzie musiała uciec się pod opiekę praw ochronnych — jeżeli pp. Amerykanie nie wydadzą jej wojny, aby ją zmusić do spożywania owych wędlin i mąki.

Z chwilą, w której Europa urządzi sobie kolonie w Afryce — a chwila to nie zbyt już chyba daleka — przybędzie jej też i nowy a twardy orzech do zgryzienia. Rolnictwo na dziewiczym gruncie, w klimacie potężnym, będzie mogło po bajecznie niskich cenach dawać to, co obecnie kosztuje dużo trudu i pieniędzy.

Przyszłość Europy pod względem ekonomicznym wcale nie korzystnie się zarysowuje. Miałaby to być już początek końca? Miałaby tłumy ludności bez pracy i bez chleba wyjść pod łaskawsze niebo, zostawiając naszą starą małą Europę — pustą i wyludnioną? Niema nic nieprawdopodobnego; nie prędko jednak jeszcze do tego przyjdzie.

Ale wracajmy do książek, od których zaczęliśmy ten list. *A tout seigneur, tout honneur*: pierwsze miejsce dobrym uczynkom. Oto książeczka mała, sprawozdanie z kolonii wakacyjnych, urządzanych dla młodzieży szkół lwowskich. Dzięki opiekuńczej trosce, dzieciątka te mogą oddychać w lecie zdrowem powietrzem wiejskiem. Podobne kolonie i wycieczki wakacyjne znaleźć można wszędzie w Niemczech; korzysta z nich młodzież niezamożna, przez położenie materialne swych rodziców skazana na zamknięcie w murach miasta — nieposiadająca środków do wychylenia się z nich na świat.

Bardzo szczęśliwie naśladowano te kolonie wakacyjne w Warszawie. We Lwowie znowu Towarzystwo Pedagogiczne i komitet *ad hoc* wzięły sprawę w ręce i rzecz udała się bardzo dobrze.

Ponieważ Towarzystwo Pedagogiczne nie miało do rozporządzenia funduszy niezbędnych przeto dobroczynność publiczna, składki, ofiary koncerta, dopomogły do zebrania kapitału potrzebnego. Dało się zatem utrzymać dwie kolonie: jedną dziewczęcą, drugie chłopców, pod nadzorem delegatów towarzystwa, a to z jaknajlepszym możliwym skutkiem, za skromną sumkę 3.000 złotych reńskich.

Sprawozdanie, które się teraz ukazało, polecamy gorąco wszystkim tym, którzy chcieliby naśladować przykład Lwowa. Książeczka jest nie tylko nauczającą, jest też i zajmującą w czytaniu. Memoryał pani Jadwigi Zubrzyckiej, pierwszej kierowniczki kolonii dziewczęcej, *Życie w koloniach* przez p. Kowalowską, sprawozdanie higieniczno-medyczne Dra Żulińskiego — zmarłego przed miesiącem, człowieka wielkiej cnoty i użyteczności — zasługują na jaknajwiększe rozpowszechnienie. Nie wątpimy, że kolonie, raz wszedłszy na porządek dzienny, staną się stałą instytucją dobroczynności publicznej.

Spełniwszy surowy obowiązek, przejdźmy teraz do rzeczy lżejszych. Jesteśmy we wszystkim i zawsze wierni duchowi i smakowi panującemu. W Niemczech, tak dobrze, jak we Francji, romans, choć nie wypadł jeszcze z łaski publiczności, dał jednak obok siebie miejsce nowelli. I u nas również nowelle sypią się obficie, a nowe nazwiska nowellistów występują na jasność dzienną. Jednocześnie z powabnym zbiorem Bałuckiego, wydanym przez księgarnię T. Paprockiego, otrzymujemy nowe Klemensa Junoszy, pani Kościalkowskiej i innych. Są to wszystko siły nowe, talenta świeże, zapowiedzi na przyszłość; we wszystkim tem jest życie i pomimo ubolewań pessimistów mamy otuchę i nie rozpaczamy. Realizm umiarkowany, zdrowy i niepozbawiony pewnego idealizmu, prawie we wszystkich tych utworach stanowi główne znamię ich istoty. Chętnie tu przytaczam, *exempli modo*, małe arcydzieło Klemensa Junoszy *Laciarsz*. Nic pospolitszego od tematu, ale też i nic bardziej wzruszającego, rozdzierającego boleścią, dramatyczniejszego nad sposób opracowania tego tematu. Pani Kościalkowska posiada talent niemierniejszy, ale jej natura niewieścia przebija się w nowellach, które mamy przed sobą. Jest to pochwała, jest

istotnie dobry przymiot: gdyż autorka, nie zadając gwałtu natchnieniu swemu, idzie za niem i trzyma się tego, co jest prawdą jej istoty. Ten niewieści charakter siły twórczej wszakże nie przeszkadza temu, że sceny wymagające realizmu, trochę nawet surowego, wyrzynają się z plastycznością pożądaną na tle ogólnem.

Trzecie nazwisko jest nazwiskiem poety i kobiety zarazem. Pierwsza jej próba — książeczka bardzo skromna, wyszła w lecie r. z. z druku. (*Obrazki z życia i fantazji*, wierszem, Zofii Łempickiej; Warszawa, 1884 r., str. 157). Niema tu tego przepychu, do jakiego przyzwyczaiła nas poezya, ilekroć raczy ukazać się pomiędzy nami: papier szarawy, druk pospolity, wydanie oszczędne: wszystko to sprawia mimowolne wrażenie nie wzbudzające wielkich nadziei. Tem większej przyjemności doznajemy, spostrzegłszy swój błąd. Od pierwszego wiersza już czuć talent, widać, że poetka ma dar formy i że włada piórem z tą łatwością, jaką dać zdoła tylko wprawa. Może tylko pani Łempicka zamała trochę dba o oryginalność, nie ubiega się za nią, poprzestaje na tem, co proste, ale zarazem i do pewnego stopnia zużyte. Wszystkie prawie poezye są pisane wierszem jednej miary, poprawnym, harmonijnym, ale monotonnym. Talent sam przebija się wszędzie, a niekiedy objawia się z siłą niezwykłą. Powołać tu wypada: Wzwanie do Matki Boskiej (str. 41), które zyskałoby jeszcze przez większą zwięzłość, ale i takie, jakie jest, jest pięknem. Rzeczywiście talenta nie potrzebują zachęty.

Nowości francuzkich i niemieckich niezbyt wiele. W Paryżu wszyscy prawie pisarze, którzy mieli do wyboru romans albo teatr zwrócili się do sceny, która w razie powodzenia hojnie wynagradza swych pracowników. Najsprytniejsi, jak Ohnet, na jednym rożnie piękną dwie pieczenie: pisze się romans, aby go zaraz przenieść na scenę. On, Alfons Daudet i inni idą tą drogą opłacającą się sowicie. Zola także spróbował, ale mu się nie udało. Dumas jest już dość bogatym, aby się nie trudzić robieniem na dwie ręce tego, co może zrobić odrazu na jedną. Pomimo wielkiego rozgłosu *Teodory* Sardou'a, nowy dramat dumasowski przyciągnął tłumy i wygrał już sprawę z publicznością. Przyjdzie teraz kolej na Clarétiego i jego *Prince Zilah*, który nie będzie miał już wabika nowości, gdyż naczytano się go w książce i zna go już świat cały.

W Niemczech nie dostrzegamy nic takiego, co by mogło stanąć obok tego buńczucznego powodzenia, jakim się chlubi Paryż. Stary repertuar jest jeszcze najpewniejszym. Rozpoczynający się rok, z wyjątkiem romansu Ebersa, nie przyniósł jeszcze nic, coby dostąpiło wielkiego rozgłosu, ale dał wiele rzeczy dobrze zrobionych i pięknych. Nakładcy, zapewne po zbadaaniu smaków publiczności, największe nadzieje opierają na popularyzowaniu klasyków, dzieł o sztuce, podróży. Nie podobna zaprzeczyć, że książki tego rodzaju są pożywniejsze, użyteczniejsze od romansów pospolitych i nowelli, które się twórcom swoim nie udały. Ilustracja z każdym dniem nabiera wagi, szczególnie w studyowaniu historii, etnografii i sztuki. To, cośmy dwadzieścia lat temu uważali za niezbędne u nas: wprowadzenie ilustracji rzeczywistych przez odtwarzanie pomników i dokumentów ikonograficznych — wchodzi teraz w życie za granicą, z rosnącym ciągle powodzeniem. Niemcy mają już liczne historie literatury swojej, ilustrowane w ten sposób; mają i podobne wydawnictwa obejmujące historią polityczną, ogólną, a teraz zabierają się już do obcych narodów.

„Rossya ilustrowana“ zmarłego M. Bol. Wolffa przysłużyła się ilustracyami swemi kompilacji tutejszej, wydanej w Lipsku, niewiele wartiej, zarówno przez to, co jest niby jej własnem, jak i przez to, co zapożyczyła z obczyzny.

Większą powagę ma „Historia Rossyi“, która objąć ma także w części dzieje Polski, przez Dra Schliemana, w zbiorze Onckena. Zeszyty, które się już ukazały, odbijają korzystnie od tych kompilacji robionych tylko na handel, sobotnim ścięciem na niedzielny targ, mających przed sobą jeden tylko cel: spekulacją pieniężną. Ilustracje, co prawda, nie liczne, wszystkie odtwarzają bądź

pomniki, bądź świadectwa współczesne wypadkom. Pomiedzy innymi znajduje się w zmniejszonym formacie rycina współczesna, przedstawiająca wjazd ambasady W. Księcia Moskiewskiego do Grodna, za Zygmunta Augusta. Text nie jest jeszcze skończony; nie znamy całości dzieła; wstrzymujemy się więc z sądem o stronie nauko-wo-literackiej nowego wydawnictwa. Dodać tu potrzeba, że wogóle o całym zbiorze Onckena, przedstawiającym illustrowaną historią różnych narodów, powiedzieć można, iż się udał.

Na gruncie wydawnictw illustrowanych Niemcy i Francuzi wzajemnie się u siebie zapożyczają, i obie strony na tem jaknajlepiej wychodzą. Francuzi przetłumaczyli „Egipt illustrowany“ profesora Ebersa. Teraz Niemcy zabierają sobie „Historię Rzymską“ Duruya, i pierwszy jej zeszyt, wspaniale illustrowany, tylko co właśnie ukazał się na widok publiczny. Dzieło ex-ministra napoleońskiego znalazło uznanie nawet w Niemczech; oddają mu tu sprawiedliwość i dlatego tłumaczą. Nie potrzebujemy dodawać, że illustracje w dziele Duruya nie są tylko banalnymi reprodukcjami; autor sam czuwał nad ich wyborem. Całe wydawnictwo będzie miało 2.000 illustracji, a ten potężny zastęp wytworzy całą archeologią i ikonografią rzymską illustrowaną. Książka przez samo wyposażenie swoje jest dość drogą, ale ponieważ wychodzi zeszytami, będzie więc przystępną nawet dla mniej zamożnych. Zdaje mi się nawet, że cena jest skromniejszą, niż przy oryginalnym francuskim.

Jak się wyżej powiedziało, illustracja, poczytywana niegdyś za ozdobę, za zbytek, zaczyna w literaturze, a raczej w wydawnictwach literackich nowożytnych, odgrywać rolę istotną. Pedagogika przyjmuje ją do siebie, jako dzielny współczynnik nowej metody nauczania.

Rysunek, wogóle, tak niedawno jeszcze uważany za jakieś bawidełko, staje się już narzędziem *sine quo non* wykształcenia naukowego. Można już dzisiaj przewidywać tę chwilę, gdy zajmie miejsce w szkole jako przedmiot obowiązkowy. Jest on dziś dopełnieniem pisma, jak był niegdyś jego ojciec. Nie podobna się bez niego obyć. Nie wszyscy przez to zaraz wyjdą na artystów, ale każdy będzie miał poczucie sztuki, poczucie, którego brakuje teraz wielu osobom, nawet bardzo wykształconym. W szkołach początkowych, gdzie naukę śpiewu wprowadzono jako obowiązkową (w Niemczech), silniejsze jeszcze pobudki nakazują wprowadzić rysunek do programmatów szkolnych. Niema tak lichego robotnika, czy robotnicy, którzy mogły się obyć bez znajomości rysunku. Nie potrzeba być wcale prorokiem, aby przepowiedzieć rysunkowi rolę daleko ważniejszą od tej, jaką miał dotychczas w wychowaniu młodzieży.

Przykro to wyznać, że u nas ogólne nasze położenie nie pozwala nakładcom iść za tym ruchem, jaki się teraz dokonywa za granicą. Istnieje obawa: czy się tylko nie spóźnimy, jak to już było tyle razy. Zdaje się, że próby, jakie czyniono, nie powiodły się o tyle, aby mogły zachęcić do nowych usiłowań.

Ciekawi byliśmy bardzo rezultatów prenumeraty ogłoszonej na *Mapę poglądową Królestwa Polskiego* pani Wójcickiej; teraz ucieszyło nas szczerze powodzenie tego wydawnictwa.

Korrespondencya Jerzego Sand

(Tom VI).

(Dokończenie).

Energia natur silnych nie pozwoliła Sand, po przebyciu strasznych katastrof wojny i Komuny, pograżyć się w głuchej, pognębiającej boleści. Miłość jej jest zbyt żywą, aby tak być mogło: musi uchwycić się jakiejs nitki nadziei, myśl jej musi pracować, aby wynaleźć ją sobie. Istota rozumna nie może przecież zbyć się leniwem powie-

dzeniem:—Jakoś to będzie!... Ona wiarę swoją w przyszłość Francji musi oprzeć na podstawie pewniejszej. Wie, że kraj został stracony ze szczytu sławy i dawnej potęgi przez winę własną: przez zepsucie moralne, upadek charakterów, brak cnoty obywatelskiej, ale właśnie z nadmiaru nieszczęścia, z zagrożenia narodowego bytu, powinno było wyjść lekarstwo. Ona, patryotka dobra, uważa to, taki rzut dusz i serc, za konieczność i pisze do księcia Napoleona, przebywającego w Szwajcaryi: — „Żadna sprawa nie przepada bez możności ratunku, nikt nie jest absolutnie niepoprawnym“. Z błędów, z nieszczęść, z narodowych wad francuzkich, ujawnionych teraz okrutnie, wystąpić musi samopoznanie narodu i podniesienie Francji moralne. To jest właściwością postępu, że dzieło jego nie przerywa się i nie ustaje: pełni się nawet przez upadki i ruiny. Śmierci służą mu za materyał tak dobrze, jak narodziny, bo z wszystkiego: z klęsk, win, z zapoznania wyższych potrzeb, wyższych przeznaczeń człowieczeństwa, występuje na światło rozum ludzkich doskonalsza wiedza, która uczy „lepiej patrzeć, lepiej pojmować“. „Dlatego, przyjacielu mój — pisze dalej — na jakimkolwiek stopniu nieszczęść stoimy, cokolwiek jest nam przeznaczonem znieść, wierzymy w to—wierzymy w ludzkość, bo kto w nią nie wierzy, nie wierzy w samego siebie“.

Ale przy każdym dziele wielkiem, przy każdej pracy organicznej, która się ma odbyć w łonie jakiegoś narodu, musi być i było zawsze przewodnictwo wyżej stojących, oświeconych, którzyby wskazywali drogę tłumom ciemnym i Sand dodaje, że dla podniesienia Francji i jej ludu, przykład wyjść powinien od klas wyższych. Odpisując na jakiś, widać bardzo smutny list Emmeliny Raymond, stawia to za warunek konieczny narodowego ołrodzenia Francji, aby każdy zaczął od poprawy, od ulepszenia samego siebie i woła:— „Miejmy odwagę, ale jedynie prawdziwą pociechą w nieszczęściu może nam być tylko uczucie noszonej w sobie chęci stania się lepszymi“.

Czego przecież potrzeba na to? Sand dowodzi, że przedewszystkiem i nadewszystko miłości: wielkiej, poświęconej, którąby umiała nawet w tem poświęceniu swoim zwyciężać się, dla której sprawa: dobra sprawa, stoi nawet nietylko przed miłością własną, ale umiłowanym ideałem—miłości rozszerzonej poza *ja* swojej czującej wstręt do tego *ja* w odosobnieniu (*moi tout seul*). Wyklada to w liście do Flauberta (Październik 1872 roku) i pisze:— „Takiego ideału sprawiedliwości, o jakim mi mówisz, nie widziałam nigdy w oderwaniu od miłości, ponieważ pierwszym prawem w społeczeństwie, które ma istnieć naturalnie, jest takie służenie sobie wzajemne, jak się to dzieje u pszczół i mrówek. Ten współdział wszystkich w dążeniu do jednego celu postanowiono nazywać u zwierząt instynktem, ale mniejsza o to.... instynkt taki u człowieka jest to miłość. Kto się odejmuje takiej miłości, odejmuje się prawdzie, odejmuje się sprawiedliwości“.

Przeżyła ona przełomy rewolucyjne, widziała zbliżka głównych działaczy, zaglądała do głębi ich dusz.— „Powinnabym powiedzieć: ich worków podróży...“ pisze w nawiasie, lecz u większej ich części nie znalazła—zasad!... Był to tam tylko cel osobisty i środki wiodące do niego, to też brakowało im potem siły, brakowało ich dziełom trwałości.

Podniesienie klas niższych przez wyższe uważa za pierwszą potrzebę Francji — i razem za pierwszy obowiązek tej miłości, z którą łączy się koniecznie sprawiedliwość. „Nie żałuję podpalcza i zbrojcy, na którego spada grom prawa—pisze w dalszym ciągu listu swego — ale żałuję głęboko całej tej warstwy, którą życie brutalne, poniżone, bez polotu i pomocy sprowadza do tego, że podobne potwory legną się w jej łonie. Żałuję jej, pragnę, aby była dobrą, ponieważ nie mogę się od niej oderwać, ponieważ jest ona częścią tejsamej, co ja, całości—jest mną! Złe, które ona sprowadza na siebie, uderza w moje serce, jej wstyd mnie rumieni, jej zbrodnie targają moje wnętrze i nie mogę zrozumieć raju, tak na ziemi, jak w niebie, gdziebym przebywała ja sama“.

Nierozdzielność narodowa klas wyższych i niższych wiąże je między sobą przez węzły sprawiedliwości, miłości ojczyzny, miłości bliźniego — przez wszystkie węzły święte człowiekowi. Sand to czuje sercem gorącym, ale rozumie również to, że są chwile, są wpływy, które mogą złe oddziaływać na nas i w innym liście (z Grudnia 1872 r.) pisze to Flaubertowi. „Nie jesteśmy bogami i coś słabego, coś niekonsekwentnego wzburza nas i wprowadza zamieszanie w głębi naszą. Ale zwycięstwo staje się codziennie łatwiejsze, skoro jesteśmy logiczni i kochamy prawdę, kochamy sprawiedliwość. Uprzedza to nawet naszą słabość i naprzód stawia się zwycięzko względem przedmiotów, mogących być nam powodem gniewnych uniesień i smutnych zniechęceń“.

„Zdaje mi się to nawet łatwym gdy rzecz chodzi o karność nad nami samymi. Ale przyczyny wielkich smutków istnieją poza tem kołem ciasnem: w widoku historii, rozwijającej się pod oczyma naszymi. Odwieczna walka z barbarzyństwem poi niewypowiedzianą goryczą tych, którzy już pozostawili barbarzyzm poza sobą i stoją w szeregu oświeconej ludzkości. Ale w tej wielkiej boleści, w tych tajemniczych gniewach, które są buntem piersi naszej, znajduje się moc podniecająca, która nas dźwiga do góry i technie nam w łono potrzebę odporu, przeciwdziałania.“

Ona: kobieta, kobieta już niemal sędziwa, bo przeszło sześćdziesięcioletnia, poczuwa się jeszcze do tego obowiązku odpierania przeciwdziałania, jakkolwiek pisze w ciągu dalszym, że w życiu już oświadczyć nie ma nic do pozyskania, nic do pragnienia. Sławy miała dość, dość miała i pieniędzy—tyle, że mogłaby była stać się bogatą, gdyby była chciała, przywiązywać wagę do majątku. Teraz też na umilenie resztek życia żądałaby tylko zajęć cicho przyjemnych; oddać się botanice znaczyłoby dla niej mieć mały raj na ziemi; „ale nie można tak...“ „Jeżeli nieszczęście ma się zdać na coś, to na to, aby nas broniło przed egoizmem (zamknięcia się w kole potrzeb i używań swoich), zatem jednak nie trzeba przeklinać życia, życiem pogardzać, tak nie można używać go wedle chęci swoich—arbitralnie!“

„Ty, który się kochasz w sprawiedliwości, zacznij od jej wymiaru, zwróconego na siebie“, pisze na zakończenie, nakazując przyjacielowi, aby żył i rozwijał życia tego siły w kierunku świętego obowiązku, wielkiej potrzeby: „*bésoin de réagir*“.

Taką jest szkoła życia, wedle której ta wysokiego ducha kobieta każe Francuzom urządzać istnienie swoje. Pisze tak do Flauberta, któremu już włos srebrzyć się zaczyna na skroni, który już ma za sobą lat czterdzieści siedm; tak samo pisze do siostrzeńca swego Edm. Simmonet, młodzieńca, który tylko co wychylił się z rodzinnego koła. Tego nie trzeba jeszcze ostrzegać przed zniechęceniem i przygniatającem ciężarem życia, ale temu należy powiedzieć, że to nie zabawka, ale praca, która nie przychodzi łatwo nieprzygotowanym do niej, i poetka daje młodzieńcowi na drogę radę taką: „Ucz się wszystkiego, co możesz, bo wszystko to, czego nie wiemy, wiedzieć jest dobrze, gdyż wiedza otwiera nam horyzonty nowe. Pamiętaj przytem, że widzieć przed sobą *daleko i jasno*—to cel życia. Gdy wzrok nasz obejmuje obszary rozległe, w sercu niema zamętu: idzie się ku dobru i prawdzie z łatwością trudną do uwierzenia, i wtedy żaden obowiązek nie jest nam udręczeniem, żaden wysiłek woli nie męczy, żadne doświadczenie o ziemię nie powala.“

Ona sama trzyma się reguły, którą nakazuje innym. Nałożywszy na siebie obowiązek pracy użytecznej, usiłuje go wykonywać w możliwym dla niej zakresie. Widać przyjaciel ganił jej to, może zabraniał, bo w styczniu 1873 r. donosząc Flaubertowi, że zaczęła uczyć starszą wnuczkę swoją, Aurorę, pisze: — Narażając się na kłatwę twoją popełniam tę rzecz *użyteczną*. Usiłuje rozjaśnić dziecku krok wstępny w świat życia wykształconego, przekonana o tem, że pierwsza nauka odbija się ruchem myśli na całym ciągu dalszym. Krótko się wyrażając, zajęta jestem abecadłem, lecz nie później mnie za to.“

Uczyła czytać sługi, uczyła czytać dzieci autorka Consueli! Snażyła uprosiła sobie u Boga, w którego

wierzyła zawsze i szczerze, starość dobrą. Co-kolwiek trzeba zarzucić życiu, zachód jego jest spokojny i piękny. Umiała się starzeć; nigdy nie czuć w jej listach żalu za życiem, za jego używaniem, ale nigdy nie przyzywa śmierci, co jest najczęściej inną formą żalu tego. Łagodnie, rozumnie odrywała się od ziemi. Miewała i ona swoje chwile smutku, bo raz pisze do Flauberta, że choć tego nie znać po niej, zapłacz nieraz w kątku, kryjąc się tam ze łzami jak kot, gdy przychodzi mu umierać. Ale kto wie: jakie to łzy były? Czy nie opłakiwała niemi win młodości, życia, któreby była mogła uczynić innym: wyższem, piękniejszym? Ale przynajmniej dla starości swojej uratowała, co uratować się dało. Usiłuje rozumnie być tak zajęta, aby nudy i tęsknoty nie miały przystępu do niej. W dzień przedostatniego Nowego Roku swego życia pisze do Flauberta:—„Jestem jeszcze choć nie koniecznie potrzebna, to bardzo użyteczna mojej rodzinie, i dopóki będę mieć dech w piersiach, będę iść przed siebie myśląc, pracując.“

To też dodaje poniżej: „Nie mam czasu myśleć o sobie, marzyć o rzeczach odbierających odwagę, desperować nad losem ludzkim, rozglądać się w moich boleściach i nawet radościach minionych, przyzywając śmierci.“

Już nie długo przed tą śmiercią, pisząc również do Flauberta i wspominając o bolesnej swej chorobie, kurczach żołądka, opisuje jednak, jak się nie daje „tym nędzom.“ — „Pracuję o ile mogę z dziećmi, a w chwilach wolnych maluję wodnemi farbami. Aurora cieszy mnie i zachwyca, chciałabym żyć dość długo, aby sama wydać ją za męża, ale życiem Bóg dysponuje. Trzeba przyjąć to życie i śmierć, jak On rozrządzi.“ Tak zawsze to pojmowała, bo o kilka lat w tył, w Styczniu 1873 r. pisała do jednej ze swych znajomych:—„Nie godzi się przyspieszać chwili, w której podoba się Bogu połączyć nas z ukochanymi, których straciliśmy. Wtedy i my z kolei zostawimy po sobie coś wspomnienia w sercach, które nam były oddane. Nie umiera się całkowicie na ziemi, choć otrzymuje się inne, pełniejsze życie tam kędyś. Niema tam ani zemsty, ani meczarni, tylko jest sprawiedliwość i dobro w łonie Boga, gdzie istnieć będziemy wiecznie.“

„Pod jaką formą, pod jakim tytułem? nikt nie wie tego“, ale niewiedomość jej nie straszy, bo ufa Bogu. Ta jej słodka, wierząca, miłosa filozofia daje może jej starości pogodę. Wierzy w karę za złe, ale zgodzić się nie chce z potępieniem wiekuistym: może to być tylko przejście nowej próby, oczyszczenie, podniesienie się ducha. Bóg musi być dobry! to zasada i podstawa jej religii.

Praca, przyjaźń, przywiązanie do rodziny, do wnucząt szczególnie, daje dość ciepłych blasków jej dniom ostatnim, i dlatego nie posępna, nie ponura, nie rozżalona nad sobą, zachowuje do końca taką zdolność interessowania się wszystkim, że nie umiera duchem za życia i do chwili ostatniej czuje, myśli, rozumuje. W jednym już z ostatnich jej listów do Flauberta (12 stycznia 1876 r.), spotykamy ustęp taki:—„Tak reasumuję moją doktrynę życia: nie mieścić się po za płytą szkła odbijającego przedmioty w ten sposób, abyśmy widzieli jedynie cień naszego własnego nosa. Widzieć na możliwie najdalszą przestrzeń dobre i złe: za nami, przed nami, wokoło nas... wszędzie! Dopatrzyć się nieustannego grawitowania wszelkich rzeczy do potrzeby dobra, prawdy, piękna.“

„Czy ludzkość posuwa się ku wierchołkom? Wierzę w to, mimo wszystkiego, co się dzieje, ale nie dyskutuję o tem; rzecz to próżna, ponieważ każdy sądzi wedle własnego wzroku, a w obecnym czasie ogólny widok świata przedstawia się ubogo i brzydko. Zresztą nie trzeba mi wcale być pewną zbawienia naszej planety i tych, co na niej mieszkają, aby wierzyć w konieczność dobra i piękna. Jeżeli planeta nasza wyboczy po za prawo swego istnienia, zginie; jeżeli jej mieszkańcy stawiają się względem tego prawa uporni, ulegną zniszczeniu. Inne gwiazdy, inne duchy przejdą po ich ruinie! Ja, osobiście, chcę do ostatniego tchnienia utrzymać się wraz z mojami na drodze, która wiedzie pod górę.“

„Innemi słowami mówiąc, uciekam z miejsc nieczystych, a szukam suchych i otwartych, będąc pewną, że takiem jest prawo mojej natury! To nie dość urodzić się człowiekiem, jesteśmy jeszcze nazbyt podobnymi do małpy, od której jak nam powiadają, pochodzą mamy. Niech tak będzie; racya to więcej, abyśmy się oddalili od niej, i wydostali się na wysokość choć tej względnej prawdy, którą zrozumieć danem zostało rasie ludzkiej. Prawda to bardzo uboga, ograniczona, pokorna. Tak, posiadamy ją jednak o ile jesteśmy do tego zdolni i nie ścierpmy, aby ją nam odebrano.“

„Wierzyłam i dawniej w to, co dziś jest wiara moją—pisze w ciągu dalszym długiego listu—ale brakowało mi sił, i mówiłam jak ty dziś:—Nic na to nie mogę... Ale kłamałam ja wtedy sobie samej. Można na to wszystko... Ma się siłę, o której brak się posądzamy, kiedy się chce tego gorąco, aby iść w górę.“

Jest to jakoby jej spowiedź ostatnia: obrachunek sumienia i przyznanie się do winy. Testament jej i legat zostawiony przyjacielowi zawiera się w słowach, które idą za poprzedniami.—„Przebadź coraz szczerze jeden, mówiąc sobie: trzeba, aby Flaubert dzisiejszy był wyżej postawianym od wczorajszego, a jutrzejszy czuł się przez to mocniejszym i jaśniej widzącym. Gdy raz znajdziesz się na stopniach wschodów takich, będziesz szedł pod górę prędko.“

Niech jej pamięć dostanie od ludzi rozgrzeszenie. Błądziła, zadawała cierpienie, burzyła pokój dusz ludzkich przez namiętne paradoxa genialnych pism swoich, ale gdy namiętność odpadła od niej, i rozum, uczucie, nie zaciemnione jej tumanami, mogły działać w spokoju i na jasności; podniosła się i miała szlachetną siłę ducha, aby przyznać, że jej błąd był słabością. Tylko pycha na egoizmie nędznym oparta i przez hardość siejąca truciznę sofizmatów, postawioną być powinna w stanie sądu i winy.

Marya Ilnicka.

NOWINY PARYZKIE.

Paryż, w Styczniu 1885 r.

Dziennik adjutanta przez p. d' Hérisson'a. — Ciekawe szczegóły z oblężenia Paryża. — Traktat zawieszenia broni z Niemcami — Książę Bismarck i Juliusz Favre. — Sprawa Garibaldi'ego. — Śmierć Edmunda About'a. — Kilka rysów biograficznych i bibliograficznych. — Człowiek i pisarz; ostatnie sądy o nim na grobie. — Ludwik Halévy i Caro. — Nowa komedia Alex. Dumasa w Teatrze Francuzkim *Dyoniza*. — Przeciwnieństwo i współzawodniczość. — Głos prasy paryzkiej i sąd o sztuce Dumasa. — Treść i układ. — Odwołanie się do sądu publiczności.

(Dokończenie).

Po niesłychanych splendorach byzantyńskich *Teodory* przeszliśmy do skromnych mebelków mieszczańskich. Nie mogło się stać inaczej, kiedy dwóch takich łepaków, jak Dumas i Sardou, poszło w zawody o lepsze. Dumas przypomniał sobie może to wyzwanie swojego ojca, który się zakładał, że pomiędzy dwoma parawanami płóciennymi i za pomocą osób wprowadzanych na tę pierwotną scenę: jegomości w czarnym fraku i jejomości w białej sukience, będzie umiał napisać sztukę mogącą porwać i unieść publiczność. A nie mogąc prześcignąć *Teodory*, co do błyskotek, zestąpił niżej, aby się wznieść znowu do góry, przez doskonałość swej sztuki. Czy dopiął swojego celu? Przychylna i posłuszna prasa paryzka odpowiada: „Tak.“ — Niech i nam wolno będzie powiedzieć, co o tem trzymamy—nam ludziom bezstronnym, cośmy za własny grosz swój ledwie się mogli docisnąć, a docisnąwszy się, musieli siedzieć jak w kleszczach.

Zostawmy na stronie, kwestyą: jak była odegrana, ta sztuka na scenie Teatru Francuzkiego? i jakie wrażenie musiało wywrzeć koniecznie na publiczności przygotowanej na to, że zobaczy i usłyszy arcydzieło sztuki. Powiedzmy przedewszystkiem: jaka jest treść, jaki układ tej komedii Dumasa.

Wszystko w niej jest proste skromne aż do samego tytułu: *Dyoniza*. Niema tu miejsca, ani dla płaszcza, ani dla korony cesarskiej. Jesteśmy na ziemi, prawie na bruku paryzkim, bo choć rzecz się odbywa niby na prowincyi, ale to tylko, niby — lecz rzeczywiście jesteśmy, w Paryżu, na przedmieściu S-go Marcina albo S-go Dyonizego, patrona bohaterki komedii. Pokazuje się to odrazu z obyczajów i postępowania osób wprowadzonych na scenę.

Niejaki p. hrabia Andrzej de Bardannes, na żywszy się i nahulawszy dosyć, na wpół zruinowany, osiada na wsi, w posiadłościach swoich zadłużonych, z postanowieniem odrobienia na roli tego, co roztrwonil w stolicy cywilizacyi.

Sąsiadka jego, a dawna przyjaciółka, następczyni do zarządu majątkiem i domem niejakiego p. Brissota, który ma żonę i dorosłą córkę, a do tego piękną córkę. Wkrótce ta rodzina, takie mu oddaje usługi, że zachwycony hrabia, postanawia sprowadzić młodszą swą siostrę, którą trzymał dotąd w klasztorze na pensyi dłużej, niżby należało.

Sztuka rozpoczyna się w chwili, kiedy w domu hrabiego oczekują kilku znajomych osób z sąsiedztwa na śniadanie, a kończy się, jak to zobaczymy, właśnie w chwili, kiedy śniadanie, czy obiad, przynoszą na stół. Warunki więc czasu i miejsca zachowane zostały, podług starych prawideł sztuki dramatycznej.

Dawna przyjaciółka, i więcej niż przyjaciółka, hrabiego, owa pani de Thouzette, płoża i niewiele co warta białogłowa, ma dziś dorosłego syna Ferdynanda, rodzaj miejskiego Donjuana, nie więcej wartego od mamy. Przyjeżdża ona właśnie z zamiarem wyswatania swego benjaminika z siostrą hrabiego.

Zagadnięty w ten sposób, hrabia odmawia bez ceremonii, nie chce oddać swej siostry synowi p. de Thouzette, a naciskany dość gwałtownie, zbrywa propozycyą dość brutalną. Zawiedziona w swoich zamiarach i wyrachowaniach, stara zalotnica ucieka się do jedyne go środka, jaki jej zostaje: do kalumnii—i daje poprostu do zrozumienia hrabiemu, że, aby wydać swą siostrę za męża, nie ma on prawa wiele wymagać od innych—on, który sam jest amantem panny Brissot!—Tu ledwie nie porwano się do czubów, a pani de Thouzette dała w ostatku do zrozumienia, że pan hrabia w tej mierze nie ma nawet prawa do pierwszeństwa!

Sposób, w jaki to hrabia przyjmuje, pokazuje nam, że p. de Thouzette nie omyliła się, że Andrzej kocha Dyonizę. Czego się nie mógł dowiedzieć od starej więdzmy, p. de Bardannes postanawia wydobyc z tych, którzy go otaczają.

Najpierwszym z powierników jest niejaki p. Thouvenin, o którym hrabia tak się wyraża: „wielki przemysłowiec, wielki agronom, wielki majątek i wielkie serce.“—Prosty wyrobnik w początku, ale zdolny, pracowity, wynalazca kilku mechanicznych sposobów, o których nikt ani myślał—znalazł ten Thouvenin u hrabiego pomoc i poparcie, i jemu też zawdzięcza cały swój los i fortunę—za co dochowuje mu stale najserdeczniejszej przyjaźni.

Tu się więc zawiązuje cały interes sztuki i idzie już szybko do końca.

Hrabia najpierw stara się wybać ojca, p. Brissota. Stary opowiada poprostu to, co wie. Był on szkolnym kolegą p. de Thouzette'a ojca. Gdy wyszedł z wojska i ożenił się, między obu rodzinami zawiązały się blizkie stosunki—Ferdynand i Dyoniza wyrosli razem, a to koleżeństwo stało się z czasem miłością; ale rodzice Ferdynanda nie chcieli się zgodzić na ten związek dwojga dzieci. Dyoniza przechorowała zerwanie, lękano się o jej życie i wysłano ją na południe, gdzie po długim dopiero pobycie odzyskała zdrowie i spokój.

Jest to już coś, ta wiadomość, o projektowanym małżeństwie Ferdynanda, ale to jeszcze nie wyświeca kwestyi; hrabia ma jakieś przecucie, że stara wiedźma musi wiedzieć coś więcej: udaje się więc po poradę do przyjaciela, p. Thouvenina; przyznaje się mu, że rzeczywiście kocha Dyonizę, ale w milczeniu, zdaleka, i że ona nie wie nic o tem. Mechanik-agronom wręcz mu powiada:—„Więc siężeń.“

— Ale jeśli ona ma kochanka?
— Co to znaczy? — powiada agronom — jeżeli ją tylko prawdziwie kochasz...

— Ale jeśli ona miałaby zrobić mi jakie zwierzenia? Wówczas może być pewną, że się z nią nie ożenie.

— Kto wie — powiada zawsze uparty mechanik.

— Jeśli ją kochasz prawdziwie...

— O! nie — za nic nigdy!

— Nie trzeba się nigdy niczego odprysięgać.

Tu jest cała teza tej dziwnej sztuki. „Jeśli kochasz, reszta nie nie znaczy!“ Tak bywa bardzo często na świecie; ale czy to jest etyka do wprowadzenia na scenę? Widzimy, że autor daleko jest od pierwszego swego założenia w *Damie z Kameliq.* Tamta umiera, a ta idzie do ołtarza.

Już i tak naciągniętej sprawy znający rzecz swoją pisarz nie zaniedbał skomplikować nowym argumentem. Tu występuje w szranki siostra hrabiego, Marta, świeżo wyszła z klasztoru, a już wzięta w sidła wiejskiego Donzuanu Ferdynada. Guwernantka, właśnie Dyoniza, krzyżuje jej zamiary i przeszkadza jej w błogim rozwoju, doskonałej miłości. Siostra skarży się na to swemu bratu i, choć bardzo okolicznościowo, daje mu wszakże do zrozumienia, że i ona także zaczęła już uchylać zaslonę tajemnicy. Brat powinien wybierać pomiędzy nią i panną Brissot: Andrzej znudzony i rozdrażniony, ani się chwili nie waha i postanawia siostrę odesłać napowrót do klasztoru — i tam ją zostawić aż do pełnoletności.

Siostra poddaje się temu wyrokowi, bo brat jest jej opiekunem; ale gdy się znalazła później wobec panny Dyonizy, wydaje jej bitwę — i w gorących a żwawych wyrzutach, daje uczuć guwernantce ostrze swych pazurków. — Ta jej odpowiada z całą energią obrażonej dumy i kończy na tem, że w godzinę po wyjeździe Marty do klasztoru Brissotowie muszą opuścić ten dom na zawsze.

— Ale przysięgam — dodaje — że kosztem życia, kosztem nawet własnego honoru, ocalę panią!

Po jej odejściu, Marta żałuje swojej żywości i powiada do siebie: — „Jestem ładaco dziewczyna!“

W trzecim akcie hrabia ciągnie dalej swe śledztwo, i to jest możenajśłabszy moment tej komedii. Andrzej powraca do badania pani de Thouzette i jej syna. Pierwsza się wykreca sianem; drugi przysięga na honor, że nie ma sobie nic do wyrzucenia co do pani. Hrabia, który szczęśliwie skończył swe śledztwo, widzi, że mu nie pozostaje nic innego, jeno iść i prosić pp. Brissotów o rękę ich córki, a że na to potrzebuje tylko drzwi otworzyć, a więc je otwiera i prośbę swoją zanoszą. Ma się rozumieć, że stary Brissot, zachwycony, płacze z rozczuleniami i pozwala, tylko jakoś mama Brissot trochę się kręci na stołku. Dyoniza jedna milczy. Dla potrzeby scenicznej stary i stara się wynoszą, a Dyoniza w przystępie otwartości, niezwykle u guwernantek francuzkich, opowiada przerażonemu hrabiemu, jak i kiedy stał się ów przypadek — stłuczonej kobiałki. Jest tam historia pojedynku, pożegnania, są ślady niezaprzeczone, które później śmierć usunęła. Naturalnie opowiadając tak smutne wypadki, panna płacze, płacze hrabia, płaczą potrosze i czulsi słuchacze; ale tu Dumas dopuścił się takiej licencji, jakiej jemu nawet nie mogła darować ta drwiąca, sceptyczna publiczność francuzka — i parsknęła śmiechem. Panna, widząc, że pocziwy hrabia się rozplakał na prawdę — Płaczesz pan? — zapytuje. — O! dziękuję, z całego serca, dziękuję panu. Jeden tylko pan i matka moja płakaliście wraz ze mną!

Tu stary Brissot wpada na scenę, jak wściekły. Pocziwina, ciekawy, słuchał za drzwiami. — Wyńś się! — krzyczy, jak wariat, do córki — A pana hrabiego przepraszam za to, żeś wprowadził pod swój dach takich jak my gagatków. Ale, na honor, nic nie wiedziałem!

Kiedy, odurzony tem wszystkiem, hrabia wybiega za Dyonizą, sławetny Ferduś wpada w łapy starego Brissota, który, zapuściwszy żyłaste palce za halsztuk, puszcza go w straszliwy taniec. — A to ty, nicponiu! — Wydostań się teraz z mych rączek. — Ja się nie bronie! — piszczy napół zaduszony nieborak. — Możesz mnie pan zamordować!

Stary się reflektuje: puszcza i wypychając go za drzwi, tak się odzywa: — Idź do swej matki i powiedz jej, że jeśli za godzinę nie przyjdzie mnie prosić o rękę mej córki, to cię jak psa zabiję!

Ale w tej tragi-komedii jesteśmy, jak w owej sławnej *Oberży Ardeńskiej*, która upadła jako dramat, a unieśmiertelniła się jako farsa grą Fryderyka Lemaitre'a, w roli Roberta Macaire'a.

Stary Brissot, ochłoniwszy nieco, nie może przecież zrozumieć: jakim sposobem jego żona, pocziwa kobieta, mogła zamilczeć i tak haniebnie oszukać męża; bierze ją więc na indygację. Cóż chcesz — powiada mu stara — Dyżia go tak kochała! — Jakto kochała! i to cała racja, żeby zapomnieć wszelkiej uczciwości? I myśmy także się kochali — wrzeszczy stary Brissot — A gdybym ja był takim lajdakiem, to co byś zrobiła? — Zrobiłabym, jak ona — powiada stara Brissotowa — bom cię kochała.

Ale pod zagrożeniem starego Brissota pani de Thouzette rezygnuje się na ofiarę żadaną. Małżeństwo Ferdynada z Dyonizą zostaje postanowieniem. Ten dosyć naturalny koniec takiej awantury nie zadawał niak, jak widać, Dumasa. Jego teza zostawała nierozwiązaną. A więc spadamy do filozoficznej argumentacji, której wypadkiem musi być małżeństwo hrabiego z Dyonizą. Pomimo wszystkiego i wbrew wszystkiemu — małżeństwo!

Hrabia i jego przyjaciel Thouvenin znowu stają w wobec siebie i znowu stary mechanik stara się wyjaśnić rzeczy i sprowadzić zawsze zakochanego przyjaciela z drogi gwałtów i wybryków na pole spokojnego matrymonium. Hrabia zaś chce koniecznie zamordować nieszczęśliwego Ferdynanda.

— Zmiłuj się — powiada Thouvenin — ty, co tak drżysz przed opinią ludzką. Wszak to jest jedno, co cię w tej chwili wiąże. Chcesz-że, aby powiedziano potem, żeś zabił syna dawnej kochanki, za to, że ten syn był znowu kochankiem twojej nowej ulubienicy (Dumas używa innego wyrazu).

Hrabia się chwije. Orzech zdaje mu się zbyt twardym do zgryzienia, chociaż stary mechanik, przypuszcza nowy szturm do jego serca, bo o rozumie nie może tu być mowy. — Jeżeliś nie kochał panny Brissot — prawi ten dyabelski adwokat — trzeba ją było zostawić w pokoju, lecz jeżeli ją kochasz, to wyznanie, do któregoś ją zmusił, stanowi pomiędzy wami niewzruszony związek. Dziś, już nie możesz, wręcz ci powiadam, nieżenieć się z panną Brissot. Błogosławiona to walka, w której jeszcze się oburzasz i opierasz, ale wyjdiesz z niej zwycięzko, da ci poznać to, co jest największego, co jest boskiego w człowieku — miłosierdzie i przebaczenie! Ale cóż hrabiego zobowiązuje do tego? — pytamy pokornie.

Otoż, aby usunąć ostatnie niepewności i zapory, Dumas ucieka się do sposobu, nad którym nie trzeba było łamać sobie głowy. Siostra hrabiego, która dotąd zdawała się być jedną z głównych przeszkód do małżeństwa, rozwiązuje nakoniec ten gordyjski węzeł — i to w jaki sposób. Dowiedziawszy się od pani de Thouzette i od brata całej historii panny Dyonizy, żałuje swego chwilowego uniesienia i niesprawiedliwości względem guwernantki; nie tylko jej przebacza wszystko, co jak na pensyonarkę z klasztoru, jest dosyć ładnie, ale rzuca się jej na szyję z okrzykiem: — „Obie byliśmy oszukane, przez tegoż samego narzeczonego: choźdź ze mną do klasztoru, tam, zdale od świata, znajdziemy pokój i pociechę.“

Tu bardzo naturalnie stary Brissot dodaje sentencyonalnie. — „Ponieważ ten anioł wyzwala cię, powierzam cię mu i przebaczam!“ — A więc guwernantka odjedzie? Nie, bo w tejże chwili hrabia rzuca się do niej i woła: — „Dyonizo! ja nie mogę, nie mogę!“

Tu służący melduje przybycie reszty powinnych gości na obiad.

— Otrzymy łyzy — powiada uśmiechająca się i szczęśliwa Marta — przy końcu obiadu ogłosimy im małżeństwo mojego brata.

— A klasztor, panienko? — pyta stary Brissot.

— Gdy Dyoniza wyjdzie za mąż.

Taka jest pieśń Dumasa o losach Dyonizy, i takie rozwiązanie sztuki.

Wszystko więc zależy od tego na świecie, w jaki sposób, i jaki kucharz ugotuje półmisek; bo gdyby który z nas ważył się podnieść podobną tezę w komedii, gdyby zdaleka, bardzo zdaleka, pokazał tylko coś podobnego — odpowiedziano mu brutalnie i bez ceremonii, jak się zdarzyło jednemu z moich przyjaciół — że nie tylko grać, ale nawet drukować podobnej sztuki nikt się nie podejmie.

Dyoniza ta, odegrana przez najpierwszych artystów Teatru Francuzkiego, przez Gota, Coquelinów, Wormsa, panie Reichenberg, Bartet i t. d. poszła jak po masle. Nie jest to wcale żadna pochwała, dla pisarza takiego, jak Dumas, że komedya idzie rzeźko, gładko, — że jako robota sceniczna jest prawie bez zarzutu. Czyż wszakże, w ten sposób śmiejąc się, nauczymy społeczność? Niech to powiedzą mędrsi odemnie. Ja dodam tylko jedno, że mamy już dosyć tych upadłych aniołów — i czas już może pokazać nam cnotliwe i zane kobiety.

Kronika działalności kobiecej.

— Z powodu wystawy przemysłowo-rolniczej, która w Czerwcu bieżącego roku ma się odbyć na Polach Ujazdowskich, wystawa pszczolnicza na Koszykach odwołaną została. Wystawa pracy kobiecej w Muzeum Przemysłowem także w tym roku miejsca mieć nie będzie. Ostatecznie postanowieniem jeszcze nie jest, czy otwartą zostanie w roku przyszłym.

— *Przegląd Tygodniowy* zamieścił w Nr 8 pisma swego list „Pracującej kobiety“ w ważnej a dziś, niestety! na porządku dziennym będącej kwestyi: oraku pracy. W Warszawie troszczono się dotąd przeważnie o brak pracy dla mężczyzny, i spieszono z możliwą pomocą robotnikowi, a przecież istnieje również brak pracy dla robotnicy i ta, jako słabsza, więcej może zasługuje na troskliwość miłosierdną. Korrespondentka *Przeglądu* nie pragnie jednak tego dla siostr swoich i słusznie pisze: „Jałmużna złemu nie zaradzi“. W najbogatszym, najofiarniejszym społeczeństwie jałmużna nie może być długo trwałą, a prztem, „jałmużna poniża.“ Jako sposób szlachetniejszego wspomnienia najliczniejszej kategorii robotnic, szwaczek, radzi utworzenie sali zarobkowej, w której potrzebująca znalazłaby zatrudnienie. Magazyny, szwalnie bielizny pooddały robotnicę najniższej uzdolnione, i w sali zarobkowej sporządzały też odzież prostą, taką, jakiej potrzebują ludzie niezamożni i która sprzedawana tanio, zawsze-by zbyt znalazła. Na taką salę zarobkową powinien-by się znaleźć w Warszawie kapitał, złożony przez ludzi dobrej woli i dobrego serca; w urzędzonej przy sali kuchni taniej, robotnica mogłaby dostawać obiad za 1 złoty; drugi złoty otrzymywać za ośm godzin pracy. „Pracująca kobieta“ liczy na to, że jej głos znajdzie poparcie, a my, dodajemy najszczerze tego życzenie i nawet uważamy to za obowiązek kobiet miasta naszego, aby taka dobroczynna instytucja, koniecznie potrzebna w ciężkiej chwili obecnej, zaświadczyla o ich uczuciu miłości bliźniego.

— W szkole koszykarstwa, która na wiosnę ma być w Warszawie otwartą, naukę prowadzić będzie głównie była nauczycielka koszykarstwa w Seminarjum Nauczycielek w Krakowie. Najważniejszym zadaniem szkoły jest to, aby wykształciła pewną liczbę nauczycieli i nauczycielek, którzyby następnie rozpowszechnić mogli po wsiach i małych miasteczkach tę pożyteczną gałąź przemysłu domowego. Otwartem tu jest miejsce dla pracy kobiecej.

— Dnia 24 Stycznia roku bieżącego rozszadzaną była w Wileńskim Sądzie Okręgowym sprawa p. E. Siderowiczówny, która we własnem mieszkaniu uczyła dzieci rodziców ubogich czytać, pisać i początków religii. Oskarżona o prowadze-

nie szkoły bez pozwolenia władzy wyższej, pociągnięta została do odpowiedzialności; przecież broniący jej adwokat dowiódł najpierw, że nie była to bynajmniej szkoła, gdyż nauka nie odbywała się systematycznie według stałego programu z planem regularnym i trzymającym się oznaczonych godzin; następnie, że nauka ta bezpłatna, była udzielana z miłosierdzia nad dziećmi pozbawionymi opieki rodziców, oddanych ciężkiej pracy na chleb, przytem ciemnych, więc niemogących ani dzieci swoich kształcić, ani czuwać nad nimi. Panna Sidorowiczówna zapragnęła zastąpić tym dzieciom ich miejsce: stawiała się niejako matką dla opuszczonej ich młodzieży, i odrywając je od próżniaczego waleśniania się po podwórzach lub ulicach miasta, gromadziła litościwie we własnym mieszkaniu, gdzie ucząc i ogładzając ich obyczajem, wszczepiała im pierwsze zasady religii i moralności chrześcijańskiej. Czyż zatem był to czyn karogodny? Czy raczej nie jest to czyn zasługi względem społeczeństwa, któremu oskarżona ujmowała w ten sposób troski o tych przestępców małoletnich, których potem musi państwo mieścić w koloniach wychowania poprawczego? Adwokat dotknął tu i tej kwestyi, że gdy inne kobiety samotne i bez rodziny, stają się dziwaczkami, chodząc dla rozrywki psy i koty, podsądna pod szlachetnym sercem porywem zwróciła się miłosiernie ku dzieciom ubogim i przez położenie swoje osieroconym, oddając im swój czas, poświęcając się dla nich na mozolną naukę początkową, tem trudniejszą, że domowe wychowanie dzieci nie przygotowało ich umysłów do jej przyjęcia. Kodex karny obowiązujący w państwie wymierza przez zastosowanie artykułu 1,049 karę na naukę pokutną w tej myśli, aby nie rozszerzano skrycie nauk, podkopujących społeczeństwo i ruinujących podstawy państwa; tu przecież nie podobnego miejsca mieć nie mogło, jak tego dowodziły podręczniki naukowe: elementarze i katechizmy, drukowane za pozwoleniem cenzury, a znalezione w pamieszkaniu p. Sidorowiczówny przy rewizyi, która zastała tam dwadzieścia kilka dzieci, chłopców i dziewczynek, zajętych spokojnie nietylko nieszkodliwą, ale pożyteczną dla społeczeństwa nauką. Na zasadzie tych wyjaśnień i przywiezionych okoliczności łagodzących, wileński Sąd Okręgowy nie zastosował surowo wspomnianego wyżej artykułu, skazując filantropkę na 15 rs. kary pieniężnej, lub trzy dni zamknięcia za niedopełnienie prawem przepisanych formalności.

— *Paryżkie Towarzystwo Dobroczynności Pań Polskich* założone w 1834 roku przez Klementynę Hoffmanową i księżnę Adamową Czartoryską, a zatem liczące po rok 1884 pięćdziesiąt lat istnienia, ogłosiło sprawozdanie z półwiekowych czynności swoich. Zaraz w pierwszym roku istnienia zebrało ono ze składek i datków dobrowolnych 18,000 fran. i wsparło 360 osób. W roku następnym, dzięki koncertowi Szopena, danemu na jego korzyść, dochód wzrósł do 27,000 fr. W trzecim roku, 1837, urządzono w takimże celu bal dobroczynny i odtąd bale te odbywały się corocznie, aż do 1848 roku, przynosząc niekiedy po 30,000 fr. dochodu. Bywały też niekiedy zapisy na korzyść towarzystwa czynione; w 1837 r. niejaki Lindheimer z Frankfurtu nad Menem zapisał na ubogich polskich w Paryżu 2,000 florenów. Dalej Towarzystwo zaspakajało swoje potrzeby to przez prywatne zbieranie składek, to przez loterye fantowe. Fanty były zbierane głównie między paniami z arystokracji francuskiej, datki przychodziły od zamożniejszych Polaków zamieszkałych w Paryżu, lub przybywających tam z kraju. Prócz wsparć doraźnych, udzielanych biedzie wyjątkowej, fundusze Towarzystwa szły

na zapomogi: dla ubogich dziewcząt polskich, kształcących się w szkole pałacu Lambert, dla Zakładu S-go Kazimierza w Jevisy, będącego przytułkiem starców i dzieci; dla kolonii włościan polskich pod Konstantynopolem i inne polskie przytułki dobroczynne. Od 1864 r. Towarzystwo zaczęło słabnąć na siłach: potrzeba pomocy wzrosła niezmiernie, a środki zmniejszały się coraz przy zmienionych okolicznościach wśród nowego pokolenia. Od 1874 roku zwłaszcza, Towarzystwo ubożało coraz: wpływ pieniężny rzadko kiedy przeszedł 20,000 fr. rocznie i wiele potrzeb nie mogło zostać zaspokojonych, od wielu celów dobroczynnych odstąpić musiano. Obecnie na czele Towarzystwa stoi Iza, z książąt Czartoryskich hr. Działyńska. Lekarzami Towarzystwa są znani w paryżkim naukowym świecie rodacy nasi: Gałęzowski, Loewenhard, Henszel, Federowicz.

— Ociemniiali wychowawce i wychowanki Warszawskiego Instytutu Głuchoniemych i Ociemniałych, otrzymują tam, w celu zabezpieczenia ich przyszłości, możliwe wykształcenie w muzyce i pewnych wyrobach ręcznych, w czem dochodzą nawet do zadziwiającego uzdolnienia. Ale mimo to, zarobek ich jest bardzo ograniczony i trudny, dziś zwłaszcza, gdy brakuje pracy dla ludzi zdrowych i nieuposzczonych na zmysle żadnym; *Kuryer Warszawski* zwraca też uwagę na fakt, że w Marsylii inżynier przy miejscowym zarządzie telefonów, André, zajął przy obsłudze stacyi telefonicznych ośmnaście wychowanek tamtejszego Instytutu Ociemniałych, które wywiązują się bardzo dobrze z powierzonego sobie zadania. Osoby niewidome mają zwykle słuch bardzo bystry i delikatny, co w połączeniu z uczuciem miłosiernej sprawiedliwości, powinnyby zapewnić wszędzie kobietom ociemniałym a odpowiednio wykształconym, pierwszeństwo przy obsadzaniu posad telefonistek.

— Wydana we Lwowie przez *Towarzystwo Pedagogiczne* broszurka: „Lwowskie wakacyjne kolonie” objaśniając nas o tej pożytecznej instytucyi, zostającej pod protektoratem Namiestnikowej Zalewskiej, mieści w jednej ze czterech części swoich: „Pamiętnik kierowniczk pierwszych wakacyjnej kolonii dla dziewcząt” spisany przez znaną już czytelnikom pisma naszego p. Jadwigę Zubrzycką. Dziewcząt, w wieku od lat 10 do 14, było wysłanych na kolonię wakacyjną 21. Wszystkie według sprawozdania już dziś nieżyjącego Dr. Żulińskiego, zyskały bardzo wiele pod względem zdrowia i rozwinięcia się fizycznego, *Pamiętnik* p. Zubrzyckiej porusza tu przecież jeszcze jedną równie ważną kwestyą, przy której autorka stawia na końcu znak zapytania. Dziewczęta wysłane, były—jak to być powinno, dziećmi ludzi ubogich. Szkoła miejska dawała im naukę tylko, dom zaś, rodzice, nie dać nie mogli, i gdy pobyt na kolonii letniej otworzył przed ich oczyma jakgdyby nieznany dotąd świat myśli i uczuć wnowych dla nich porządkach i układzie życia, młodzieńcze twarzyczki odbijały w chwili powrotu „tęskną zadumą” pod którą czyż się nie krył żal i niepokój dotąd im nieznan? „Czy nie zawiele bawiłam je?” pyta w końcu sama siebie przewodniczka kolonii. Czy nie wypadałoby korzystać z czasu kolonii letnich przyzwyczajając nieco dziewczęta do form obyczajowych, wdrażać je nieco do zajęć dobrze prowadzonego gospodarstwa domowego, zaprawiać do robót potrzebnych tak im dla siebie samych, jak dla rodziny? Może nie byłyby tak zadumane gdyby w domu, do którego powrócą, umiały zająć się w sposób tak pożyteczny—gdyby biednej matce mogły pomódz skutecznie w tem, czego jest nieswiadomą tak, jak one były dotąd.

Że kolonie letnie urządzają się przeważnie ze względu na polepszenie fizycznego stanu dzieci, zamkniętych w ciasnych zaułkach miejskich, że chodzi tu głównie o swobodny ruch i rozwijanie się sił na świeżem wsi powietrzu, pytanie p. Zubrzyckiej może sprowadzić też na czoła zapytanych cień zadumy. Czy przecież myśląca przewodniczka kolonii nie może sama do pewnego choć punktu rozwiązać zagadnienia? Prace gromadne w zakresie gospodarstwa domowego mogą dać bardzo zdrowy rach, połączony z ożywczą wesołością, i przewodniczka kolonii może nieraz zastąpić w ten sposób gry czystą już zabawę mającą na celu. „Przyzwyczajanie do form obyczajowych” wchodzi nawet, jak sądzić trzeba, w programat jej opiekuńczego zajmowania się dziećmi. Tylko już roboty mozolne, męczące, jak nauka szycia, siedzących robót ręcznych, zapewne nie dadzą się pogodzić z celem kolonii wakacyjnych.

— W sejmie Rzeszy Niemieckiej professor uniwersytetu Monachijskiego Hertling, poseł ze stronnictwa centrum, postawił wniosek zawezwania rządów związkowych, aby fabryczna praca kobiet i dzieci ograniczoną została. Chodzi tu o usunięcie zupełnie roboty nocnej, ściśle oznaczenie godzin dziennej, i zabronienie niedzielnej, z bardzo rzadkimi i wyraźnie oznaczonymi wyjątkami w wypadkach szczególnych.

Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiem podaje do wiadomości miłośników sztuki, iż starając się o wzbogacenie i ożywienie Wystawy Towarzystwa dziełami współczesnych znakomitszych artystów, uzyskał na czas kilku tygodni słynny obraz Wacława Brozika, malarza czeskiego: *Jan Hus* przed soborem w Konstancyi, będący własnością Muzeum Narodowego w Pradze Czeskiej. Obraz ten znajduje się już na Wystawie Towarzystwa. Na tejże wystawie w tych dniach umieszczone zostały: *Gladjator* (Ave Caesar! Morituri te salutant), słynna rzeźba Piusa Welońskiego w Rzymie; czternaście dużych *akwarell* malarzy hiszpańskich: Hermandeza, Villegaza, Rossi'ego, Gałofre'a. Nadto przybyły obrazy W. Gersona: *Powrót Kazimierza Mnicha*; *Śmierć Przemysława*; S. Obsta: *Góral węgierski* (akwarella); J. Maleszewskiego: *Fatme*; K. Millera: *Portret mężczyzny*; J. Rudowskiego: *Portret damy*; N. Pané: *Wista przy ujściu Narwi*; F. Ejsmonda: *Miłość macierzyńska*; A. Głębockiego: *Ecce Homo!* i wiele innych w tych dniach przez afisze już ogłoszonych.

Tenże komitet ma zaszczyt uprzedzić pp. członków Towarzystwa, iż z przyczyn od komitetu niezależnych wydanie premium za rok ubiegły, to jest reprodukcji obrazu Juliusza Kossaka *Jan Sobieski na polowaniu*, nieco opóźnione zostało, i że takowe oczekiwane jest od Lamerciera et Comp. z Paryża, najdalej w przyszłym miesiącu Marcu. Po otrzymaniu premium powyższego, komitet natychmiast zawiadomi przez pisma pp. członków Towarzystwa i jednocześnie zarządzi wysłanie takowego pocztą w odpowiedniej liczbie exemplarzy pp. członkom korrespondentom na prowincyi zamieszkałym, na rachunek Towarzystwa.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 15-ty i 16-ty powieści pod tyt.: **Silny duch**.

TREŚĆ. Wspomnienie, poezya przez Tomasza Zawadyńskiego. — Pogawędka. — Justka, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Listy z Magdeburga IX, J. I. Kraszewskiego. — Korrespondencya Jerzego Sand, (dokończenie). — Nowiny paryżkie, (dokończenie). — Kronika działalności kobiecej.

Dodatek obejmuje: powieść pod tytułem: **Silny duch**, arkusz 15-ty i 16-ty, przez W. Heimbura. — 28 wzorów ubiorów i robót wraz z opisem — Sekreta gospodarskie. — **Dyspozycyą stołu**.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 6 Февраля 1885 года.